

*Die 29 octobris n. st., 19 st. st.
Morawsk, południe*

Miasto nie było duże. Ot, gródek, jaki potężna armia rozgniotłaby w marszu niczym mrowisko, które miało nieszczęście znaleźć się na drodze giganta. A jednak dla tak nielicznego wojska, jakie stało przy Dymitrze, mógł stać się cierniem w oku. Morawsk oblany był wodami Desny, otoczony trzęsawiskami i moczarami, które nie zdołały jeszcze zamrznąć. Majaczył przed nimi wśród padającego śniegu niczym gród z ruskiej baśni: szarawe wały, których jeszcze śnieg nie pobieliał, na ich szczycie parkany pokryte poprzecznymi pręgami drewnianych bali, ślepiące na przybyszy pustymi źrenicami strzelnic. Wyżej wznosiły się szczyty drewnianych kleci i domów, wyniosłe, kryte gontem kopuły cerkwi zwieńczone złocistymi prawosławnymi krzyżami, nad którymi górowały kopuły i wieże niewielkiego kremla, czyli obronnego zameczku włączonego w skład fortyfikacji.

Dymitr nakazał wysłać posłańca z pismem, skreślonym na prędcie przez skrybę i wzywającym mieszczan do buntu. Kozak podjechał z białą flagą pod bramę, ostrożnie, rysią. Nie strzelano do niego. Podpuszczono bliżej. Podał na górę papier nabity

na ostrze szabli, a potem wrócił skokiem poprzez błoto i łąki zarośnięte wyschniętymi trawami.

Odpowiedź nadeszła szybko. Nim zdołał pokonać połowę drogi, błysk ognia rozjarzył strażnicę nad główną bramą. Armatnia kula przemknęła z gwizdem nad głową posłańca, uderzyła ziemię, wzbijając fontannę błota; pokazując dobitnie, że Morawsk, choć lichy i ubogi, ma jednak pod drewnianą skorupą serce mężne, waleczne i będzie bronił się przed armią Samozwańca.

– Rozłożyć obóz na błoniach! – Dymitr nie dał poznać po sobie, jak bardzo jest rozgoryczony. – Obrócić armaty na miasto. Gotować się do szturmu.

Chorągwie zrobiły zwrot. Posłano po tabory i działa, które szły na końcu kolumny. Lecz niepotrzebnie, bo oto nagle zimny wiatr rozwiął tuman śniegu, a wszystkim zdało się, że nagle nad wieżycami grodu zabłysło słońce, złote jak wieże Soboru Uspieńskiego na Kremlu.

A potem w cerkwi uderzył dzwon, najpierw cicho, żałośnie, potem głośniej i pewnie. Wszyscy usłyszeli dochodzącą z miasta palbę: grzmot wystrzałów, krzyki, wrzaski i kwik koni. Zamęt trwał krótko. Wnet bramy Morawska rozwarły się na oścież; wypadł z nich kozak, pędzący co koń wyskoczy w stronę wojsk Dymitra, z powiewającym oseledcem i wymachujący czapką zdjętą z wygolonej głowy.

Zeskoczył z konia, padł na kolana, zdyszany, czarny od prochu.

– Batko, carewiczu, prawy kniaziu uglicki! – zakrzyknął. – Miasto wzięte! Strzelcy pobici. Wojewodowie w więzieniu. A my, raby carskie, chcemy chrest na twe imię całować. I błągamy, abyś nas biednych nie odrzucał i do miasta wkroczył. Tu wszystko – wyrwał z zanadru zwój papieru – w gramocie stoi. Upraszamy uniżenie i za łaskę carską weźmiemy, jeśli Wasza Carska Mość będzie nad nami panował. Przybądź do grodu, umiłowany nasz batiuszko, a powitamy cię chlebem, solą, biciem we dzwony i procesją.

Dymitr wyprostował się w kulbace i ujął pod boki całkiem polskim, a nie moskiewskim obyczajem.

– Gotowość waszą do uznania prawdziwego pana pochwalam. Usługi przyjmuję wdzięcznym sercem. Jednak do miasta wjadę dopiero wówczas, kiedy przekonam się, że to nie zasadzka. Mości panie wojewodo! Trzeba skoczyć do Morawska zanieść mieszczanom odpowiedź i przekonać się, jak stoją tam sprawy.

– Sprawy? Jakie sprawy? – Wojewoda rozejrzał się, jakby to nie o niego chodziło. – Niby dlaczego, to tamto, ja mam jechać?

– Bo Morawsk to pierwszy z grodów, które waszmości we władanie oddają! Co, nie chcesz sprawdzić, mospanie, czy zasobny i bogaty? Decyduj się, bo mogę go komu innemu odstąpić.

– Dajcie mi kilku ludzi, a zaraz ruszam – rzekł zapędzony w kozi róg wojewoda.

– Weź, waszmość, Przybyłowskiego i Dydyńskiego z pocztami!

Mniszech pokiwał bródką, skoczył pod chorągiew, okrzyknął Jacka i Mikołaja.

– Mości panowie! – zakrzyknął. – Jedźcie ze mną do miasta! Dydyński nie dał się dwa razy prosić.

Die 29 octobris n. st., 19 st. st.

Morawsk, godzina pierwsza w południe

Słońce błyszczało w niebiosach jak latarnia, dając światło, ale nie grzejąc, kiedy wjechali do miasta przez niską, wkopaną w ziemię i otoczoną ostrokołem bramę. Dydyński zastanawiał się, jakie będzie powitanie w pierwszym moskiewskim grodzie po drugiej stronie granicy. I kiedy przejeżdżał pod bramą, nagle w jego husarski szyszak uderzyło coś miękkiego. Gdy zerknął w górę, napotkał najpierw brudne, pokrwawione pięty związane konopnym powozem, a potem martwe, wytrzeszczone spojrzenie wisielca. Sześciu brodatych umrzyków w strze-

leckich żupanach, odartych już z butów i kaftanów, kołysało się zgodnie na stryczkach niczym pijusy po wyjściu z szynku. Powieszono ich niedawno, bo jeden drgał jeszcze, a po dygoczących łydkach spływał świeży gnój. Dydyński pomacał bok szyszaka i stwierdził ze zgrozą, że uparty stronnik cara Borysa Godunowa nawet po śmierci poczynił uszczerbek w husarskim ekwipunku – złamał strusie pióro barwione na karmazynowo, którego pewnie nie sposób było dostać w Moskwie!

Uliczki tonące w błocie, tylko z wierzchu przysypane śniegiem, były równie pogmatwane co szlacheckie procesy sądowe, w dodatku zastawione ławami, kramami i beczkami, przy których kuliły się tłumy ludzi. Przepychali się z trudem pod bramy niewielkiego kremla, gdzie mieścił się główny plac, którego wszakże nijak nie można było porównać z rynkiem, jaki znali z miast Korony Polskiej, choćby Sanoka czy Sandomierza. Kiedy jechali, w oko stolnikowica wpadały scenki i żywe obrazy, które rozgrywały się pod ścianami i w bocznych uliczkach.

– Hospody pomiluj! Spasitieeeeee! – darła się z płaczem niewiasta, z której rąk dwóch rosnących strzelców z berdyszami wydierało wystraszonego młodzieńca w utyłanym w błocie sarafańcu, czyli męskim, otwartym z przodu kaftanie.

Dalej trzech posadzkich tłukło kijami i czekanami leżącego w błocie starca; nie widać było po nim żadnych oznak życia. Tuż obok rąbano toporami drzwi i okiennice domu, z którego dochodziły ostre, przeraźliwe krzyki przeplatane plugawymi przekleństwami. A także prośbami o ratunek kierowanymi do moskiewskiego Boga, który dziwnym trafem okazał się wielce niełaskawy dla stronników Godunowa w Morawsku.

Jakiś oberwany, bosi i szczerbaty chłopak pędził jak strzała; omal nie wpakował się pod kopyta konia szlachcica, trzymając pod pachą parę czerwonych juchtowych butów z cholewami – być może zdartych z nieboszczyka.

Z bocznej uliczki wypadli dwaj konni w kolczugach i spiczastych szłomach, jak z czasów Ruryka. Na sznurze wlekli przez błoto i kamienie wyjącego, zakrwawionego brodacza.

– Błahaho Caria! Błahaja Mati! Preczystajaja... Błahosłowien-naja Bohorodice Marije, miłość Syna Twojego i Boha! – wydzierał się półnagi oberwaniec z kawałkiem łańcucha przy szyi.

Na placu powitały ich krzyki i wiwaty, a jeden dzwon niewielkiej strzelistej cerkiewki rozdzwonił się żałośnie. Z uliczek, krzywych zaułków, zza wiat i bud wyłaniał się tłum, ciemnobrązowy jak niedźwiedzia sierść, z rzadka zdobiony malinowymi lub błękitnymi plamami szub, terlików i ferezji. Tłum tak odmienny od pstrokatych ludzi zaludniających miasta i jarmarki Rusi Czerwonej, jak lato różni się od zimy, a jesień od wiosny. Ten tutaj zakutany był w futra i grube chusty, o głowach nakrytych futrzanymi szłykami, kołpakami i kapuzami, spod których wyzierały brodate i w jakiś sposób dobrodusze oblicza mężczyzn, blade twarzyczki niewiast. Dydyński wprawnym okiem dostrzegł, że wszystkie bogatsze Moskiewki, które chadzały w strojnych szubkach i sarafanach, czyli niewieścich kaptanach bez rękawów, bieliły sobie oblicza i różowiły barwiczkami zbyt mocno i zupełnie inaczej niż niewiasty w Polsce. Zatem de facto najpiękniejsze w mieście były wcale nie wielkie bojarynie, ale... ich służki i dziewczki służebne, których nie stać było na kosztowne pachnidła. Te bowiem prezentowały rumiane i naddobne oblicza, a nie maski z grubej warstwy bielidła.

Tłum gęstniał, ciągnął do gromady; pod jego nogami szarzał brudny śnieg, zdeptany setkami stóp, rozjeżdżony kołami wozów i płozami sań. Nad zakrytymi przed zimnem głowami wznosiły się poszarpane, strome dachy domów zbitych z okrągłych, nieociosanych bali, okryte białym puchem padającym jeszcze przed kilkoma chwilami. Całość wieńczyło zamglone, szare niebo i ledwie widoczna tarcza słońca.

Dydyński czuł się obco, jakby był na tym placu zupełnie sam, niczym ostatni kołek w płocie wiejskiej karczmy, którego parobkowie nie zdołali wyrwać i złamać na łbie adwersarza w trakcie coniedzielných burd. On – w polskim, ściśniętym w talię żupanie, w delii z wilczym kołnierzem do połowy ramienia, i oni – obcy tłum czerni i pospólstwa, posadzczy ludzie opa-

tuleni w futra, skóry i grube materie, jak gdyby w tych stronach nigdy nie bywało wiosny. Na szczęście to nie Dydyński musiał do nich przemawiać.

Jerzy Mniszech spojrział na otaczającą ich Moskwę przerażonym wzrokiem, przemógł się jednak, przeżegnał. Zaczął po katolicku, ale skończył po prawosławnemu – to znaczy dotykając najpierw prawego ramienia, a nie lewego.

– Zacni, uczciwi, pracowici i sławetni mieszczanie Morawska – zaintonował po rusku. – Wierni prawemu następcy tronu carskiego w Moskwie, a w przyszłości moi zacni poddani. Dymitr Iwanowicz, książę ulicki, a po ojcu dziedzic kremlońskiej korony, przystaje na supliki przedstawione w pokorze. Jego Carska Mość przychyliła się do waszej prośby i wkroczy osobą własną do Morawska, biorąc was pod ochronę i opiekę, a miasto przejmie jako dziedziczną włość swoją przynależną mu od śmierci wielkiego cara, ojczulka Iwana!

Wrzask; jeden wielki okrzyk zwycięstwa podniósł się na placu. Dzwon w cerkwi bił *Sławsia* dla carewicza z takim grzmo-tem, że wrony zerwały się z dachów kleci i domostw przy placu.

– Dymitr Iwanowicz – krzyczał wojewoda, a głos jego ginał wśród dźwięku dzwonów, porywał go wiatr, głużyły pieśni i wiwaty tłumu – uwolni was spod władzy tyrana Godunowa! Prawy carewicz i wielki książę moskiewski niesie wam wolność na ostrzach polskich szabel. Nigdy już nie postanie tutaj stopa nieprawego władcy! Chyba że zdejmie ze swych skroni Czapkę Monomacha, a sam ukorzy się, postrzygając w mnichy! Niech żyje wolność! Niech żyją swobody!

Dydyński dałby sobie rękę uciąć, że żaden człowiek, ani tym bardziej niewiasta, z Morawska nie zrozumiał ostatnich słów wojewody. Ale to już był szczegół, a stolnikowic, jako prawy Polak, nad wyraz gardził szczegółami.

Tłum ruszył, zafalował. Jacek zobaczył, jak Moskale padają na kolana, szlochają, żegnają się krzyżami, a popi w długich szatach błogosławią wiernych. Jak posadzczy ludzie biją czołem przed koniem Mniszcha i jego ludzi, tłoczą się wokół cerkwi.

– Idźcie! – krzyczał Mniszech. – Za miasto, prosić Boga o odpuszczenie grzechów. Powitać Dymitra. Może ulituje się nad wami nieszczęsnymi i niby słońce ogrzeje dusze i serca!

Szybko rozwarły się drzwi cerkwi, wypuszczając procesję. Diakon w sticharze i popi w długich szatach szli na przedzie, dźwigając krzyże i ikony, żegnając się oraz błogosławiąc lud, który padał na kolana, a czasem wył i szlochał na widok obrazów świętych. Za nimi cisnęli się bojarzy i kupcy, chcąc witać chlebem i solą Dymitra – oswobodziciela. A potem postępowali brodaci strzelcy w żupanach i kaftanach. Nie żałując kułaków i kopnięć, popychali przed sobą związanych, zakrwawionych, obdartych do koszul carskich wojewodów tudzież ich służalców, na których wyładowywał się teraz gniew tłumu. Wrzaskliwa dzieciarnia goniła ich z krzykiem i wymysłami, podczas gdy starsi i stateczniejsi mieszkańcy grodu chwyтали kamienie oraz bryły zmarzniętego błota, zgarniali śnieg z dachów i ugniótłszy w kule, ciskali w znieprawionych oprawców Borysa Godunowa.

– Dobrze im powiedziałem, co? Waszmościowie?! – zagrzemiał wojewoda, wypinając dumnie chudą pierś. – Zobaczcie, że tak będzie aż do samej Moskwy! Dosyć tu mają rządów cara Borysa.

– Oby to trwało – mruknął z powątpiewaniem Przybyłowski. – Umysły pospólstwa są płocze, a pamięć płytka. Póki idziemy naprzód, będą z nami, a jeśli Dymitrowi powinie się noga, będą w nas kamieniami rzucać i wieszać na suchej gałęzi.

– Prawda, prawda – zgodził się niespodziewanie wojewoda. – Macie waszmościowie świętą rację. Ale patrzcie, jakie to miasteczko bogate. Widać, że na kijowskim szlaku. Pewnie wożą tędy skóry i sobole na sprzedaż, miód, воск i potaż, nie wspominając o drewnie. Kurnik to niby, ale daje intraty rocznej ze cztery tysiące złotych!

Tłum porwał ich w główną uliczkę wiodącą do bramy. Rozganiając pospólstwo krzykiem i nahajkami, dotarli do wałów,

przecisnęli się pod niewesołą deputacją moskiewskich umrzyków, którzy, niestety, nie ze swej winy spóźnili się zarówno na krótką, ale treściwą przemowę jaśnie oświeconego wojewody sandomierskiego, jak i na powitalny pokłon Dymitra.

Na błonia przed Morawskim wyległo całe miasto, a niebo rozjaśniło się od złotych krzyży, srebrnych okuć ikon i pozłocistych chorągwi z wizerunkami świętego Jerzego i Michała Archanioła. Moskale cisnęli się do Dymitra, rzucili pod kopyta jego konia skrępowanych jeńców. A kiedy carewicz podniósł rękę, nakazując ciszę, las głów zniżył się w dół – na kolana padło przed nim całe miasto: mężowie, starcy, niewiasty, małe dzieci. Wszystkie czoła zniżyły się do ziemi.

Dymitr zsiadł z konia powoli i dostojnie. Oddał w ręce Miechowickiego ferezję. A potem ukląkł w śniegu i błocie, nie zważając na adamszkowy żupan ani zdobne szarawary, zdjął kołpak i ucałował moskiewską ziemię.

– Boże mój, bądź pozdrowiony za to, żeś mi przywrócił dziedzictwo, że za Twoją sprawą przetrwałem głód, chłód i poniewierkę, żeś mnie ocalił z rąk siepaczy wroga. A jeśli sprawa moja niesłuszna, niech mnie jednego dosięgnie Twój słuszny gniew! Bądź błogosławiona i ty, ruska, święta ziemio, matko i pocieszycielko nynie, prisno i wo wiekow, amin.

Zdawać by się mogło, że słońce wyszło zza chmur i ozłociło drobną postać Dymitra, jak blask anioła rzucony na oblicze umierającego.

Dydyński dostrzegł, że tylko on i Polacy pozostali w siodłach. Ani jedna głowa nie oderwała się od ziemi, ani jeden Moskal nie witał carewicza inaczej niż na kolanach. A szlachcic, kiedy tak patrzył na rozmodlony tłum, wreszcie wolny od strachu i jarzma cara, poczuł i zrozumiał cel wszystkich tych dni, w których przeprawiali się przez bezdroża Ukrainy. Pojął wolę i zamiśl, który wiódł Dymitra Samozwańca i ich wszystkich do Moskwy.

– Jaka tam ruska ziemia! – warknął Przybyłowski. – Jaka tam mać rodzona! Toż to Siewierszczyzna. Kawał naszej

Ukrainy, którą gwałtem wydarł Litwie ten stary czort Wasyl, dziad Dymitra. Przyjdzie za nami tu król jegomość, a wszystko to, aż po Siewsk i Rosławl, do Rzeczypospolitej wróci!

– A mnie się zdaje – mruknął Świrski – żeśmy chcąc nie chcąc zostali ruskimi bohaterami, mości panowie.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki